

I. Aresztowanie

Zacznę od pytania jak to się stało, że znalazłem się w strefie władania przez ówczesny ZSRR? Otóż po pierwszej wojnie światowej i po odzyskaniu niepodległości, rząd Polski stworzył możliwości zasiedlania terenów wschodnich rdzennymi Polakami.

Mój Ojciec, który był równocześnie chłopem, rzemieślnikiem i robotnikiem zdecydował opuścić rodzinna, miejscowość w woj. częstochowskim. Skorzystał, z dogodnych warunków, parcelacji i kupił 7 ha urodzajnej ziemi w woj. tarnopolskim i tam pracował i mieszkał wraz z rodziną do wybuchu II wojny światowej.

Ja, jako ostatni z czworga rodzeństwa urodziłem się już na terenach wschodnich.

W roku 1939, po podziale stref wpływów niemieckiej i sowieckiej i pakcie Ribentrop-Mołotow, nasz dom nasz gospodarstwo znalazło się pod władaniem Stalina. Pamiętam dobrze 17 września 1939 roku, kiedy to byłem świadkiem wkroczenia armii ZSRR do Polski. Fakt ten, nie bez powodu nazywa się potraktowaniem nas „nożem w plecy”.

Pakt o nie agresji pomiędzy Polską a ZSRR, był tylko fikcją. Nikomu, kto to przeżył na własnej skórze nie trzeba przypominać jak wyglądała w naszej Ojczyźnie.

Dnia 10 lutego 1940 roku o godzinie 6:00 usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Było jeszcze ciemno. Zerwaliśmy się, ojciec otworzył drzwi...

Do mieszkania wkroczyło trzech sowieckich żołnierzy, jeden dowódca i dwóch szeregowców, z karabinami gotowymi do strzału. Najpierw zapytali czy nie mamy broni, potem przeszukali mieszkanie. Następnie dowódca powiedział aby się pakować bo jeśli nie, to pojedziemy tak jak

stoimy w bieliźnie... Podstawili nam trzy sanie, co było wyjątkiem. Po około godzinie jechaliśmy już w stronę kolei. Gdy odjeżdżaliśmy, pamiętam jak wyły nasze psy...

Podobnie było w innych wysiedlanych polskich rodzinach, może jeszcze gorzej, bo ja, najmłodszy miałem już 15 lat a u innych były całkiem maleńkie dzieci.

Była wówczas sroga zima, do stacji kolejowej Skalat jechaliśmy prawie trzy godziny.

II. Podróż w nieznane

Tak rozpoczęła się nasza tułaczka i droga przez mękę na Syberię.

W poprzednim odcinku moich wspomnień opisałem początek deportacji w nieznane. Jak się później okazało wywieźli nas na Syberię.

Do stacji Skalat dzieliło nas, od miejsca zamieszkania 3 km. Mimo to „podróż” saniami trwała 3,5 godziny. Był to bardzo mroźny poranek, lutego 1940 roku (nie taki luty, jak w tym 1998 roku!).

Na stacji czekały na nas wagony towarowe, w pewien sposób przystosowane do przewozu ludzi. Były one kryte na wewnątrz po obydwu stronach miały półki (nary). Na samym spodzie było miejsce na nasz dobytek, który zdążyliśmy zabrać: odzież, jakieś wartościowe rzeczy, żywność. Pierwsza i druga półka, nad tymi rzeczami, służyły jako sypialnie i w ogóle jako mieszkanie. W górnej części było małe oszklone i zakratowane okienko. Na drugiej półce umieszczono rodziny z małymi dziećmi. Rodziny wielodzietne przydzielono na górne prycze a mniej liczne niżej. Na środku wagonu stał piecyk, można było w nim palić o ile zdobyliśmy w czasie postoju węgiel, a nie zawsze to się udawało. Po lewej stronie przy drzwiach był taki otwór w podłodze, który służył jako toaleta (ubikacja i łazienka!).

Po załadowaniu nas i zamknięciu od zewnątrz pociąg ruszył.

Jeszcze w domu mój ojciec zapytał – gdzie zamierzacie nas wywieźć?

Dowódca odpowiedział, że „skąd przyjechali tam pojedą”.

Ponieważ przywędrowaliśmy w te strony z zachodniej Polski, gdzie byliśmy osiedleńcami po 1. wojnie światowej, to myśleliśmy, że tam pojedziemy. Obserwowaliśmy kierunek, w którym ruszył pociąg. Zatoczył on łuk w prawo i skierował się na wschód...

Wszystkich ogarnęła rozpacz, słychać było tylko płacz i szloch tłumiony modlitwą, nie indywidualną ale wszystkich z całego wagonu...

Po pewnym czasie zabrał głos mój ojciec, który przemówił do współuczestników niedoli: byłem w Rosji na Syberii w latach 1905-1910, nie jest tam tak źle, głodu nie zaznałem, wyrosłem, nauczyłem się rzemiosła (Ojciec urodził się w 1890 r.) ...to tylko to, że nie będziemy u siebie, ale cóż jest wojna i musimy się z tym pogodzić, musimy to przetrwać... aby wrócić do naszej Ojczyzny...

Tak to przy wtórze łkań i wspólnej modlitwy żegnaliśmy się z ojczystym krajem. Nie mieliśmy już złudzeń gdy pociąg przejechał rzekę Zbrucz i miejscowość Podwólczyńska - jeszcze polskie i Wołczyńska, które były już po stronie ZSRR.

Niedługo po tym zabrano się do uszczelniania wszystkich otworów, szczelin w wagonie, którymi mróz i zimno, niemiłosiernie wdzierało się do wnętrza dając się nam we znaki.

Zrobiono zasłonę na klozet i uporządkowano bagaże, zastawiono oszronione ściany od strony „sypialni”. Mój ojciec często spoglądał w okienko obserwując tereny ZSRR. W pewnym momencie zapłakał i przemówił: to nie ta Rosja, jednak będziemy musieli przeżyć bardzo trudne czasy... Po tych słowach „znów rozległ się płacz. Płacz nam nie pomoże musimy wziąć się w garść, trzeba zadbać o wodę, węgiel, bo żywność to każdy zabrał z sobą na jakiś czas na razie wystarczy. Pociąg ciągle jechał. Dopiero jak odjechaliśmy dość daleko od granicy Polski, pociąg zatrzymał się. Wojskowi, bo byliśmy eskortowani przez nich, otworzyli drzwi.

Żołnierz zapytał, kto mówi po rosyjsku?

Zgłosił się mój ojciec. To ty będziesz starszym wagonowym, dawaj trzech ludzi po zupę, chleb i gotowaną wodę. Gorąca woda była prawie na każdej stacji.

Na jeden wagon był następujący przydział: 1 wiadro zupy i w worku chleb, nie pamiętam ile, wody można było wziąć ile kto chciał.

Szczęściem było gdy w czasie takiego postoju udało nam się naznosić węgla do wagonu. Było to możliwe gdy na stacji stał pociąg z węglem. Na następną okazję trzeba było czekać do kolejnego zatrzymania się pociągu, a tego nigdy nie wiedzieliśmy ani nie byliśmy pewni...

III. Dalszy ciąg podróży

Zastanawialiśmy się, co stało się z tak bogatym krajem jak Rosja, krajem niewyczerpanych możliwości, niegdyś spichlerzem świata, w porównaniu z obecnym porewolucyjnym ZSRR.

Obserwowaliśmy przez okienko wagonu miejscowości, które mijaliśmy po trasie, bardzo odległe jedna od drugiej, zasypane śniegiem. Tylko z trudem można się było domyśleć, że tam żyją ludzie. Czasem gdy pociąg zmniejszał szybkość i przejeżdżał przez miejscowość to tamtejsi mieszkańcy wrzucali nam przez okienko, w którym szyba była odsuwana, woreczki z suszonymi ziemniakami, burakami, marchwią, a rzadko z sucharami...

Obserwując ludzi na postojach myśleliśmy o tym, jak długo przyjdzie nam żyć w tym zimnym - dosłownie i w przenośni, kraju.

Powoli przyzwyczailiśmy się do warunków w jakich przyszło nam teraz żyć - nie wegetować. Jednak nie sposób nie wspomnieć o najuciążliwszym obowiązku, który polegał na „odbijaniu” ciągle zamarzającego otworu w kłozecie.

Ważnym obowiązkiem było nocne dyżurowanie przy piecyku, polegało to na pilnowaniu ognia aby nie wygasł i żeby nie stała się tragedia w postaci pożaru.

Tak to mniej więcej wyglądała nasza podróż w nieznane.

Cały nasz pociąg składał się z dużej ilości wagonów. Chciałem je policzyć, wiele razy próbowałem to zrobić, głównie na zakrętach, ale nie udało mi się.

W tym pociągu jechała moja siostra, mężatka z trojgiem małych dzieci: 2-miesięczne, 2 letnie i 4 letnie. Jechała bez męża ponieważ wcześniej został zmobilizowany do wojska polskiego, na wojnę niemiecko-polską. Był z nimi również jej męża brat ze swoją rodziną: żoną, czworgiem dzieci, w tym najstarszy syn miał 10 lat. Usiłowaliśmy przeprowadzić ją do naszego wagonu, ale okazało się, że to niemożliwe; po pierwsze jej wagon był na końcu całego składu pociągu, po drugie zawsze staliśmy na stacji pomiędzy torami i innymi wagonami, było to więc bardzo ryzykowne i niebezpieczne, po trzecie mieli pomieszczone wszystkie rzeczy (ubrania, dobytek, żywność) z tą wyżej wspomnianą rodziną. Uporządkowanie było niemożliwe z powodu szczupłości miejsca.

Rodzice obawiali się o tę swoją córkę, że bez naszej pomocy nie uratuje ani siebie ani dzieci. Mieliśmy jednak nadzieję, że u kresu podróży odnajdziemy się i będziemy razem lub przynajmniej w pobliżu.

W Swiedłowsku obecnie Ekatarinograd, rozdzielono nas na dwie części: pół składu pociągu skierowano w rejon Nowolaliński a drugą część do rejonu Taborńskiego. Nas przywieziono do stacji Bogosłowsk w pierwszym z w/w rejonów i był to kres naszej podróży... pociągiem.

Poinformowano nas, że do miejsca docelowego pozostało 50 km.

Pokonywaliśmy tę odległość przez, bezdroża i rzeki.

Matki z dziećmi zapakowano na samochody ciężarowe „Zis5”, na który i ja załapałem się.

Drogą dla samochodów była zamrznięta rzeka. Była to najgorsza część dotychczasowej tułaczki, ponieważ zdarzały się przykre niespodzianki. W czasie jazdy wiele osób dostało torsji z powodu zatrucia spalinami. Ludzie stękają, jęczą, a kierowcy - było ich dwóch, śmieją się ...Jedziemy dalej... cały czas po lodzie, a tu nagle z przerażeniem stwierdzamy, że lód pęka i auto powoli opada..., tu znów radosny śmiech kierowców! Okazało się, że rzeka zamarza do dna, a na powierzchni zamrznięta jest tylko napływowa warstwa wody i to tylko świeży lód pęka... Wobec tego jechaliśmy zapadając się do stałej warstwy lodu, to znów będąc na jej pierwszej części, raz głębiej raz płycej.

W czasie tej drogi były najprawdopodobniej dwa postoje w wioskach. Tam odpoczywaliśmy w barakowych, ogrzewanych świetlicach i napiliśmy się gorącego picia. Gdyby nie to, to do miejsca przeznaczenia dowieziono by nas może nie martwych, ale na pewno sztywnych.

IV. Cel podróży

Wioska do której dotarliśmy to - Kuszfa, zbudowana była przez wywiezionych „kułaków” - kupców, spekulantów i inteligencję carską. Uzupełniano mieszkańców tej wioski już trzykrotnie, ponieważ z pierwszego transportu ocalał jeden człowiek (mój brat z nim rozmawiał), z drugiego kilka osób a z trzeciego pozostało znacznie więcej, bo poprzednicy przygotowali dla nich jakie takie warunki egzystencji...

Po wykarczowaniu lasu powstały niewielkie ogródki, domki z drewna. Nam przydzielono domek dwuizbowy na dwie rodziny (jedna 4 osobowa a druga pięcioosobowa). Obecnie z tej drugiej rodziny żyje p. Sz wajowa - matka i jej córka, też wdowa, i mieszkają w Pieszcach k/Dzierżoniowa.

Tak wyglądała podróż matek z dziećmi. Jak przetransportowano mężczyzn? Otóż, na „saniach” ciągniętych przez traktor - staliniec gąsienicowy. Sanie wykonane były z dużej sosny o średnicy ok. 40 cm, ociosane trochę na kwadrat, a z przodu podcięte. Miały też kłonicę i poprzeczki, a wszystko to poskręcane było śrubami. Na przodzie umocowany był stalowy dyszel. Załadowano na ten sprzęt dobytek pasażerów i ruszono, w drogę. Początkowo mężczyźni siedzieli na swoim bagażu ale niedługo. Było tak zimno, że tylko poruszanie się, czyli marsz koło owych sań dawał

szansę nie zamarznięcia w pozycji siedzącej. Jechali nie rzeką, ale lasami. Odpoczywali, podobnie jak kobiety z dziećmi, w mijanych wioskach i - ogrzanych świetlicach. Dołączyli do nas dopiero po trzech dniach, tj. ojciec, dwóch starszych braci i sąsiad p. Szwaja.

Ojciec mój opowiedział nam co działo się po drodze, m.in. taki przypadek: jeden z towarzyszy niedoli zmęczony pieszym nadążaniem za traktorem i saniami usiadł na nich. W ten sposób odpoczywali wszyscy ale po pewnym czasie zsiadali i szli na własnych nogach aby nie zamarznąć. Natomiast wspomniany wyżej człowiek, siedział i siedział... a gdy zachęcano go do zejścia - mówił, że jest mu ciepło. Po pewnym czasie spadł sztywny. Na szczęście w pobliżu był zaplanowany postój i odpoczynek - ciepłe pomieszczenie i ciepłe picie, i to go uratowało od niechybnej śmierci.

V. Osiedlenie się we wsi Posiołek-Kuszfa

Wioska Posiołek była położona na zboczu góry od strony południowej i podzielona na trzy ulice, po dwa rzędy domków, biegnących z góry na dół. Na dole tej wioski było trochę równiny, na której stała stołówka, klub - dom ludowy, magazyn, siedziba władzy tj. komendanta i biuro oraz bania - łaźnia. Dołem płynęła rzeka, a na środku wioski stał sklep. W sklepie tym sprzedawca miał za zadanie wydawać chleb na kartki, cukierki (cukru nie było), szampan, którego nikt nie kupował, walonki - filcowe buty, onuce i ubranie watowane.

VI. Wyrąb lasu

Po dotarciu wszystkich na miejsce przeznaczenia, nakazano nam zgłosić się do biura komendanta (mnie to nie dotyczyło, bo byłem jeszcze niepełnoletni). Wówczas rozdysponowano gdzie, z kim i w jakiej brygadzie każdy dorosły będzie pracował. Przydział pracy mógł być dwojaki: albo do wyrębu lasu, albo do oczyszczania brzegów rzeki z różnych roślin - małych i dużych, które je zarastały. Było to konieczne, aby wiosną można było bez zakłóceń spławiać nią ścięte drzewa. Rozdano dorosłym ubrania watowane, kurtki, spodnie i buty filcowe. Do konkretnego miejsca pracy trzeba było pokonywać różne odległości 2-3 km a nawet 8 km. W niektórych, przypadkach było to aż 25 km. Wówczas mężczyźni nie wracali codziennie do swoich domostw, lecz mieszkali tam na miejscu w barakach. Dopiero w sobotę przychodzili, aby w niedzielę po południu znów tam wracać.

Praca odbywała się w brygadach. Każda z nich otrzymywała wydzieloną działkę lasu do wyrębu, a konkretnie rozliczano wykonanie tej pracy w metrach kubicznych (sześciennych), które dokładnie liczono. Jeżeli robotnicy nie wykonali owej normy to otrzymywali zdecydowanie mniejszą wypłatę, ci zaś, którym udało się ją wykonać mogli za otrzymane pieniądze żyć... na granicy podstawowej egzystencji. Pod warunkiem jednak, że do utrzymania nie było więcej jak

dwie osoby ale najczęściej było inaczej. Co wtedy?... głód.

Robotnik otrzymywał przydział 1 kg chleba na dzień, a członkowie rodziny (dzieci, babcia, dziadek) po 0,3 kg. Aby ratować się przed głodem sprzedawano różne rzeczy i odzież ludziom, którzy byli w lepszej sytuacji tzn. tym, którzy żyli i mieszkali tam już od jakiegoś dłuższego czasu, za ziemniaki, mleko, bo o chlebie to nawet mowy nie było. Obowiązywał bowiem zakaz uprawy roślin zbożowych na prywatnych działkach, którego ściśle przestrzegano.

Do ścinania drzew służyły piły poprzeczne na dwoje rąk, do ścinania gałęzi - siekiera, a do podcinania tej części na, którą stronę miało drzewo upaść - podpora i wrona.

Wykorzystywano również pilę zwaną „tłuk”.

Wyglądała podobnie jak luk. Pracował nią jeden, człowiek, który obcinał końce i przycinał na rządową miarę kłody. Aby dotrzeć do sosny, którą wyznaczono do ścięcia należało najpierw udeptać albo odgarnąć śnieg, który najczęściej sięgał do pasa dorosłego człowieka. Na cały czas wykonywania tej ciężkiej pracy robotnicy zabierali ze sobą tylko chleb, nic więcej, który przy tak niskich temperaturach oczywiście zamarzał.

Rozgrzewali go więc przy ognisku, które rozniecano głównie dla spalenia gałęzi no i trochę dla ogrzewania oraz suszenia rękawic czy innych części odzieży.

Do oczyszczania brzegów rzeki były zatrudnione kobiety.

Odstępowano od obowiązku wykonywania pracy wówczas, gdy temperatura spadła poniżej 40oC. Zimą praca była o tyle znośna, że nie dokuczały komary i muszki. Latem natomiast, które było krótkie i ciepłe, rozwijały się one tak szybko i w takich ilościach, że aż do udręki. Wciskały się one wszędzie. Próbowano się przed nimi bronić robiąc maski na twarz i zawiązując szczelnie nogawki spodni, tak aby uniemożliwić dostanie się do ciała. Była to naprawdę katorga, ponieważ latem było gorąco (w pochmurne dni było jeszcze gorzej), a tu trzeba było opatulać się jak najdokładniej no i wykonać normę.

Przy wyrębie lasu pracowali mój ojciec i dwaj bracia. Mama z uwagi na zły stan zdrowia nie pracowała - skaleczyła oko zbierając jagody. Mój ojciec miał brygadę, składającą się z mężczyzn po 50, to już przy takiej pracy należeli do starców. Z tego powodu nie wykonywali normy i przez to zarabiali bardzo mało. Kierownictwo będąc na inspekcji u ojca pytało dlaczego tak marnie pracują? Ojciec odpowiedział, że mało jemy, to mało mamy sił do pracy, czego więc można żądać od takiego słabego człowieka. Prawie w tym momencie szedł mężczyzna niosąc gałęzie do ogniska i przewrócił się. Ojciec powiedział proszę popatrzeć z jakim trudem będzie wstawał i jak powolne są jego ruchy. Takie tłumaczenia na nic się jednak nie zdały. Oprócz tego prawie wszyscy cierpieli na kurzą ślepotę.

W następny dzień po tej wizytacji przydzielono brygadzie ojca nową działkę pięknego lasu tzn. takiego bez gałęzi, czyściutkiego. Wystarczyło więc obciąć tylko wierzchołek drzewa i była gotowa kłoda bez dodatkowego ścinania gałęzi. Efekt tego był taki, że norma była wykonywana a nawet wypracowywali więcej ponad nią. Jak się później okazało taka sytuacja posłużyła kierownictwu, do mobilizowania brygad młodych do większego wysiłku. Motywując to tym, że takie staryki dają radę a wy nie, jest to więc tylko lenistwo i nie było tłumaczenia.

Do moich obowiązków należało zaopatrzenie w żywność i opał.

Osoba dorosła, pracująca otrzymywała na kartki 1 kg chleba a niepracujący członkowie rodziny po 300 gramów na dzień. Mimo, że był to przydział kartkowy to i tak trzeba było stać, po kilka godzin w kolejce aby go otrzymać. Zdarzało się nierzadko, że chleba brakło. Nie odebrany natomiast w danym dniu przepadał.

Za pieniądze można było zakupić jeszcze inne artykuły spożywcze np. zupę kapuśniak lub „bałanda” (była to zagotowana i posolona mąka z i wodą), kaszę jęczmienną, jaglaną kraszoną olejem roślinnym. Oprócz tego były jeszcze pianki smażone na oleju i naleśniki. Gdyby chcieć zaspokoić głód wszystkich członków rodziny, to z pewnością pieniędzy wystarczyłoby na jedną dekadę miesiąca.

Wyczekiwanie w kolejce za żywnością pod gołym niebem nie było łatwe, szczególnie przy temperaturze 40-42oC poniżej zera.

Obuwie, które przywieźliśmy ze sobą z Polski nie nadawało się na takie mrozy. Obcinano z nich cholewy i przyszywano gumowe kalosze, które można tam było kupić. Aby zabezpieczyć nogi przed przemarznięciem, owijano stopy onucami i zakładano te kaloszo-buty.

Można było wytrzymać w ten sposób około 2 godzin pod warunkiem, że człowiek cały czas był w ruchu.

Głowę i całą twarz opatulaliśmy szalikami, Po takim 2 godzinnym czekaniu w kolejce z szalika zwisały sople zamarzonej pary. No cóż, trzeba było oddychać.

Jako obuwie służyły też łapcie z łyka tj. z kory młodego drzewa - lipy.

Owijano dokładnie nogi i sznurkiem obwiązywana razem z tymi łapciami. Mieliśmy je po poprzednich mieszkańcach tego domku.

Opracowane na podstawie egzemplarza skserowanego z kserokopii wydania z 1999 roku, odnalezionego przez Janusza Baranowskiego.